

Góra Banitów

Ten sam sen. Jak co noc śni mi się wybuch widziany z lotu ptaka. Piękny, magiczny i niszczycielski błysk oraz unosząca się nad nim chmura w kształcie róży. Świat doszedł do takiego momentu, w którym okupant przewyższył wszystkie inne mocarstwa zdobyciami swej techniki. Wiem, że odegrałem w tym jakąś rolę, ale jaką, tego nie pamiętam.

Te sny męczyły mnie długo w pewnym okresie mojego życia, aż do momentu poznania kilku wyjątkowych osób. Nazywam się Rider Paris, Łowca Zleceń i prywatny detektyw. Przedstawię wam historię nietypowej rodziny Breskich.

Na podwalinach prastarej, krasnoludzkiej warowni przytwierdzonej do Samotnej Góry, z której to niegdyś znamienita rasa wydobywała żelazo, banda ludzi składająca się wówczas z wygnanych i wyjętymi spod prawa, zbudowała miasto. Wpół odkryte i otoczone bagnami, wpół schowane we wnętrzu góry. Wejście do miasta znane było jedynie nielicznym, choć wieści i legendy o tym miejscu były powszechne. Góra Banitów, bo tak ją później nazwano, była zamkniętą społecznością, składającą się głównie z sierot i niewolników oraz tych, którzy na nich żerowali. Niegdyś próbowano powołać zarządców, lecz ginęli szybciej, niż się pojawiali. Dochodziło do rozejmów i paktów, lecz w tym świecie szybko je zrywano. W końcu doszło do mordów oprawców: porywaczy, złodziei i oszustów. Niewolnicy i sieroty musieli jednak z czegoś żyć, szybko więc przejęli brutalne metody zarobku swych dawnych panów. By uniknąć chaosu, najmądrzejsi i najdzielniejsi z niewolników, zwani później Pierwszymi Założycielami, dokonali podziału na grupy, które miały być zależne od siebie i współgrać w symbiozie oraz pokoju. Ten stan jednak nie trwał zbyt długo. Po śmierci Pierwszych Założycieli w mieście podzielonym na strefy wpływów zaczęła się wewnętrzna walka o dominację. Silniejsze gangi przejmowały dochody na danym obszarze. Każdy musiał dbać o siebie.

Strefy Wpływów

Pierwszy obszar zwany Strefą Wejścia należał do Ivara z gangu Tubylców. To on decydował, kto wchodzi, wychodzi i kto wie o wejściu. Do niego też należała kopalnia. Ivar często zsyłał do miasta bogatych uciekinierów, za co reszta gangów odpalała mu dołą.

Drugą strefę nazywano Pasernią. Można było tam spieniężyć wszystkie fanty i na odwrót. Gangi paserów raczej nie walczyły ze sobą w krwawy sposób, nie chcąc odstraszać potencjalnych klientów.

Celniak, Wymieniak lub Strefa Wojny to obszar, gdzie mieszkali ci, którzy nie zagrzali miejsca w żadnej innej strefie. Największa ze wszystkich i najniebezpieczniejsza. Wieczne walki między gangami, również tymi z innych stref, i okradanie przedostających się do czwartej strefy majątnych złodziei było na tym na wpół oświetlonym placu na porządku dziennym.

Czwarta i ostatnia część miasta, Strefa Towarów i Usług należała do Kapłanów. Były tam karczmy, hotele, a nawet rzemieślnicy, krawcy i balwierze. By tam się dostać, trzeba było być kimś o szerokich wpływach, potężnie uzbrojonym lub o wielkich jajach.

Ron Breski, postawny blond młodzieniec z charakterystycznym dla wojskowych kręconym wąsem, dezertor w poszarpanym zielonym mundurze armii Zjednoczonego Cesarstwa Zachodniego właśnie przemierzał najniebezpieczniejszą część Celniaka, czyli Plac Krwi, schowany jeszcze pod skalnym sufitem, który nieco dalej ucinął się w połowie swej dawnej rozpiętości. Gdzeniegdzie wały się resztki trupów rozszarpywane przez lokalne kundle. W końcu spokojnie odetchnął, wchodząc w dobrze mu znaną i oświetloną letnim słońcem uliczkę. Nagle jego uwagę zwróciła dziwaczna stalowa konstrukcja wijąca się między i nad mizernymi budynkami. Trzask i poblask zapowiedziały pojawienie się dziwnego pojazdu na dwóch kołach. Maszyna w mgnieniu oka śmignęła mu przed nosem, zjeżdżając z budynku niczym krasnoludzki wózek kopalniany. Nakręcany korbami po bokach pojazd był dla Rona zaskoczeniem, a siedzący na przedziwnym wynalazku dzieciak wyrwał mu plecak ze złotem i odjechał. Młodzieniec ruszył w pogoń za dziwną maszyną, zwinnie przeskakując między stalowymi konstrukcjami. Pojazd zwalniał.

„Mam cię!” – pomyślał Ron, zrównując się z dzieciakiem bok w bok. Nagle złodziej przestawił coś w maszynie, puścił korby i zjechał na niższy poziom, gdzie prócz szyn można było dostać się stromymi schodami. Breski zbiegł za nim po stopniach, lecz zanim zdążył zejść na sam dół, dziwnie trzaskająca maszyna jakby się nakręciła. Chłopak wcisnął hamulec, odwrócił się w drugą stronę i odjechał z niebywałą prędkością w drogę powrotną.

Ron biegł wytrwale za maszyną, gubiąc ją na zakrętach i znajdując na prostych. W tym czasie pojawiła się również druga i trzecia maszyna, wszystkie przemierzające się po wielkich, stalowych rozbudowanych szynach otaczających to miasto tak naprawdę od zawsze. Dzieciaki jeżdżące na maszynach wyciągnęły dziwne kleszcze na stalowych linach i zahaczyły je o rurki ciągnące się wzdłuż szyn. Szynocykle nagle przyśpieszyły, a na ich przedzie, w zadbanym czerwonym modelu, jechał Remi, młodszy brat Rona. To sprawiło starszego Breskiego w osłupienie.

Ta część miasta wyglądała jak wnętrze fabryki połączone z dzielnicą pustynnych miast. Z jednej strony stalowe rury i mrok, a z drugiej kwadratowe, gliniane bu-

dynki różnej wielkości o piaskowym kolorze. Ron nie dawał za wygraną, postanowił obserwować, dokąd jedzie młodszy brat razem ze swoją paczką. Dobrze znał to miasto, więc bez trudu ich śledził, nie zwracając na siebie uwagi. Wtem szajka na szynocyklach okrążyła od drugiej strony Plac Krwi. Ron kątem oka dostrzegł, jak podejrzany typ zostawił na środku dziwną paczkę, a dwóch następnych chciało do niej dobiec. Szybko zostali ustrzeleni z łuków przez inną ekipę, która dobiegła do paczki. W tym momencie przejeżdżający z bosakiem dzieciak na czerwonym szynocyklu wyłowił paczkę, podczas gdy dwójka za nim, uzbrojona w okute kije zmasakrowała twarze bandytów, po czym cała trójka zniknęła w dziwnym tunelu. Ron dobrze wiedział, dokąd zmierzają.

Dezerterowi wydawało się, że był wcześniej od nich. Stał na dachu jednego z wielu półkolistych budynków o pomarańczowej barwie, po czym wszedł do czegoś na kształt ogromnej, stalowej butli, lecz nie ujrzał dawno porzuconego domu, w którym dbał o każdy detal tworzący namiastkę normalnego życia. Chudy, niski i zgarbiony staruszek z siwą brodą, w futurystycznych goglach i dziwnym świecącym urządzeniem w miejscu serca spoglądał w stronę wchodzącego młodzieńca, który przestraszył się na widok opychającego się makaronem dziwaka.

– Co ty jesteś? – niefrasobliwie zapytał, spodziewając się na miejscu starca kogoś innego.

Staruszek tylko otworzył usta ze zdziwienia, wypuszczając ich zawartość na blat stołu, przy którym siedział.

– Braciszek! – krzyknął młodzieńca Remi, wyglądając zza zdobnej, czerwonej sofy mającej na sobie mnóstwo dziur po papierosach.

Młodzieńca winnie przeskokczył sofę. Był ubrany w brudną białą koszulę z rozdartymi zawadiacko rękawami oraz w brązowe spodnie. Remi wyciągnął z kieszeni skręconego samodzielnie papierosa i dziwne stalowe pudełeczko, z którego wyłaniał się niewielki płomień. Remi zaciągnął się dymem z papierosa, kaszlnął i splunął w kąt.

– Jak było na zewnątrz? – odezwał się znowu młodszy Breski.

Oniemiały brat wskazał tylko palcem na starca.

– A, papcio. Papcio jest w porządku, robi fajne rzeczy – Remi pochwalił się swoją zapalniczką.

– Co to jest!? Co... – zanim Ron zaczął, Remi machnął tylko ręką, przewrócił oczami i wrócił na sofę.

Wiązanki przekleństw i obelg robiły wrażenie chyba tylko na czmychających z zaśmieconej podłogi karaluchach i szczurach.

– Spokojnie, chłopcze – zaczął staruszek, zwracając się do Rona. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

– Zamknij się – krótko odpowiedział młodzieniec. – A ty, Remi, słuchaj mnie! – młodszy brat spojrzał na starszego. – Niech jeden z twoich psychopatów odda mój plecak!

– Dałeś się skroić? – zaśmiał się młodszy Breski.

– W tej chwili prowadź mnie do tych...

– Przyjaciół – spoważniał nagle Remi. – Ja nazywam ich przyjaciółmi i żaden z nich nie zostawiłby mnie na pastwę losu, tak jak robił to brat.

Ron zaniemówił, a jego oczy zaszkliły się.

– Fajnie, że wróciłeś – powiedział Remi i poszedł w stronę wyjścia, trącając brata barkiem. Stając za progiem, dodał – No, chodź.

Niewielka szopa przy starym, zawalonym wychodku nie robiła zbyt dużego wrażenia, ale o to chodziło. W szopie za luźno przymocowanymi deskami jednej ze ścian znajdował się stary, górniczy magazyn. We wnętrzu magazynu, a raczej oczyszczonej groty, stały maszyny niegdyś przemieszczające się za sprawą pary i elektryczności, a także pozytywki i urządzenia trudne do zinterpretowania. W tym momencie Ron nie zdawał sobie sprawy z możliwości i niezwykłości większości przedmiotów, lecz jednego był pewien: niejeden pozabijałby ich wszystkich za możliwość choćby przyjrzenia się tym dziwom. Starszy brat ocknął się z szoku w momencie, gdy zobaczył jak kolega Remiego z wygolonym irokezem przegląda jego plecak.

– Hej, ty! – krzyknął.

Dzieciak spuścił wzrok z plecaka i spojrzał na Rona. Najpierw drgnął przestraszony, później pobiegł w stronę szynocykla, lecz źle odmierzył odległość i zamiast na niego wsiąść, potknął się i przeleciał na drugą stronę. Zapadła cisza, dopiero gdy szynocykl przechylił się i spadł na leżącego chłopca, reszta wybuchła śmiechem.

– Aaa! – irokez jęknął z bólu, gdy reszta zachodziła się ze śmiechu.

– Pomóżcie mu, kutasy! – krzyknął Remi do swych towarzyszy, jednocześnie podnosząc leżący szynocykl.

Po słowach młodego Breskiego dwóch pozostałych, szczupły i wysoki Gerard oraz niski i grubiotki Brajanek od razu przystąpili do pomocy. Ron widział, jakim szcunkiem cieszył się jego młodszy brat. Wciąż gryzło go to, że Remi miał do niego pretensje. Zostawił chłopaka, ale zrobił to przecież po to, by móc wyrwać go później z tego miejsca. Wyjść z miasta jest trudniej, niż wejść, jednak nie zapowiadało się na to, żeby Remi tego chciał.

Bracia mieli sobie dużo do powiedzenia, lecz przez cały dzień trudno im było zacząć. W końcu na dachu jednego z najwyższych budynków, skąd jako mali chłopcy często obserwowali mierzących się z życiem ludzi i marzyli, doszło do pierwszej poważnej rozmowy.

– Mamy szansę zostać czołowym gangiem w Celniaku – powiedział brat. – Przejmując Strefę Wojny.

Brescy siedzieli na dachu jednego z budynków, spoglądając na wijące się w dół szyny. Koledzy Remiego, jeżdżący na szynocyklach, akurat katowali jakiegoś gościa, który próbował niszczyć szyny.

– A czy to takie ważne? – odpowiedział Ron.

– Czy ważne?! – oburzył się brat. – Celniak jest najważniejszy! Żaden gang nigdy jeszcze nie przejął pełnej kontroli nad Strefą Wojny. Wtedy nawet Tubylcy musieliby czyścić nam buty, nie wspominając o Ivarze czy Kapłanach.

– Remi, posłuchaj mnie. To miejsce jest zepsute. To czy pracujesz przy gnoju, czy jesteś właścicielem gnoju to i tak to, co masz jest gównem warte.

– Może dla ciebie! – Remi podniósł głos ze łzami w oczach, które jak najszybciej chciał wytrzeć, by nie wyjść na mięczaka. – To jest mój dom, moi przyjaciele i moja rodzina! Chcesz, żebym odszedł i zostawił to wszystko? Na pastwę Ivara, który niszczy i kupuje dusze ludzi. Może ty skreśliłeś ich wszystkich, ale ja nie. Zdobędę władzę i zabiję Ivara.

– Remi!

– Zamknij się! Nic nie rozumiesz! Jesteś pieprzonym egoistą! – wstał.

– Remi stój! Dokąd idziesz?!

– Mamy jeszcze jedną robotę. Zobaczysz, zmienisz zdanie.

Ron złapał młodszego brata za ramię.

– Puszczaj! – krzyknął Remi, uderzając brata w twarz.

Cios nie był mocny, ale dawał Ronowi wiele do zrozumienia. Młodszy zrobił jeszcze krok w stronę brata, chyba chciał przeprosić, ale zrezygnował, słysząc wołanie kolegów

– Pilnuj papcia. Jest paru, co chciałoby go dorwać – dodał, odchodząc.